Czesław Miłosz jakiego będę pamiętać



Czesław Miłosz, fot. Marek Śmieja.

Kiedy po śmierci dostanę się do Nieba, musi tam być jak tutaj

zamieniony w samo patrzenie będę dalej pochłaniał proporcje

ludzkiego ciała, kolor irysów, paryską ulicę w czerwcu o świcie

(Cz. Miłosz z tomu „To”)

Barbara Gruszka-Zych

Wiedziałam o chorobie Czesława Miłosza, ale i tak nie mogłam uwierzyć w wiadomość, która dotarła do mnie w sobotę, 14 sierpnia 2004 roku. Zwłaszcza, że „Mój Poeta” patrzył na mnie z naszych wspólnych zdjęć, zawieszonych na ścianie mojego pokoju. Robiłam je, ilekroć odwiedzałam Autora *Nieobjętej ziemi* w jego krakowskim mieszkaniu. To dzięki niemu „uwierzyłam” w życie pozagrobowe. Kiedyś złożyłam Profesorowi wizytę, nastawiona, że będziemy rozmawiać o poezji, a on zaczął mnie wypytywać o sprawy osobiste, o których opowiadałam mu przed kilkoma miesiącami. Myślałam, że o nich zapomniał.

– Martwiłem się o panią – mówił. – Zawsze pani dobrze życzyłem, myślę o pani ciepło – powtarzał. I wtedy poczułam, że jeśli ktoś jest dla mnie tak życzliwy na ziemi, to musi być też i po drugiej stronie. Że te dobre uczucia nie mogą się tu skończyć, zginąć, ale spotkają mnie tam…

Poznałam go w Krakowie, chciałam przeprowadzić z nim wywiad do „Gościa Niedzielnego”, byłam ostatnia w kolejce czekających. I miałam szczęście, bo autor *Kontynentów* był zmęczony i zaproponował mi spacer, a potem kawę u Noworolskiego. Zamiast robić wywiad, rozmawialiśmy o życiu, o Ameryce, w której mieszkał i wykładał w Berkeley na wydziale literatur słowiańskich. Mówił, że nie przebywa w świecie prawdziwie amerykańskim, nie ogląda telewizji, nie czyta narzucanych przez krytykę bestsellerów, ale siedzi w swojej samotni i bardzo dużo pracuje – studiuje, czyta, pisze:

– Po takich podróżach lubię zamknąć się w swojej pustelni.

Taki też był do końca. Nawet złożony chorobą, kiedy już nie mógł sam czytać, chętnie słuchał, jak inni czytali mu listy, teksty, książki i sam dyktował. Podczas pierwszego spotkania na pożegnanie dałam mu swój pierwszy tomik. Po miesiącu dostałam list z Berkeley z oceną wierszy i zachętą do pisania. Odtąd czytał każdą moją nową książkę, oceniał ją w listach, a kiedy przed 7 laty przeniósł się do Krakowa i zamieszkał przy ulicy Bogusławskiego, zapraszał mnie do siebie i na gorąco komentował moje wiersze.

– Niech pani tradycyjnie siądzie w miękkim fotelu, a ja tu – brał swoje twarde krzesło. Jaka była moja radość, kiedy pod swoją mleczną lampą siadał z przyniesionymi przeze mnie kartkami i

po kolei przeglądał je, dzieląc się uwagami. Zdarzało się, że po swojemu chwalił mnie: *bene, molto bene, tres interessant.* Kiedyś wspólnie szukaliśmy tytułu do mojego kolejnego tomiku. Poeta wybierał cytaty z moich wierszy, aż nagle ucieszył się i powiedział:

– *Zapinając kolczyki.* Niech pani uchyli przyłbicę i przyzna się, że jest kobietą.

Potem wielokrotnie przypominał mi, że wymyślił dobry tytuł. Zachęcał do wydania kolejnych książek:

– Jak składam tom, to też wciąż się zastanawiam, co jest w nim do zostawienia, a wreszcie daję spokój. Trzeba zamknąć jakąś część życia, odejść kilka kroków dalej i zgodzić się na to, że taki byłem – opowiadał. Spytał mnie też kiedyś przekornie, czy gdyby powiedział, że już nie powinnam pisać, to bym go posłuchała. Zaprzeczyłam, zdając sobie sprawę, że poeta uświadamia mi, iż konieczność notowania jest dla mnie imperatywem, siłą wyższą. To on, sławny noblista, chciał rozmawiać ze mną – wtedy jeszcze młodą dziewczyną z jakieś tam nieznanej Czeladzi. Poświęcał mi czas, przejmował się moimi problemami. Wiem, że także sprawy wielu innych osób były dla niego ważne. Sam podkreślał, że urodził się na prowincji, na Litwie, we dworze w Szetejniach, w dolinie Niewiaży – jego ukochanej Issy, między Kiejdanami a Krakinowem. Pojechałam tam w czerwcu tego roku, świadoma,

że Poeta jest ciężko chory. W Szetejniach zobaczyłam biały, odremontowany dwór, otoczony przetrzebionym, „uporządkowanym" dla turystów lasem. Słychać było, jak kukają kukułki, ale nie starałam się liczyć, ile „wróżą" lat… Badaczka dziejów Miłosza – Birutė Jonuškaitė opowiedziała mi, że kiedy poeta ostatnio odwiedził to miejsce, szukał wśród drzew ulubionej leszczyny i nie mógł jej znaleźć. Rozglądaliśmy się, jakby kontynuując jego poszukiwania.

Nie poznajesz mnie ale to ja ten sam

Który wycinał na łuki twoje brunatne pędy (…)

Szkoda, że tamtym chłopcem już nie jestem, bo widzisz, chodzę o lasce

Rozmawiał potem z drzewem w wierszu *Do leszczyny*. Z Szetejń pływał Niewiażą z ciotkami do kościoła w Świętobrości. Koło świątyni stoi zadbany pomnik jego babki Józefy Syruciowej, której mąż Zygmunt Kunat napisał *Najlepszey żonie*. Patrzyliśmy na cmentarz w popołudniowym słońcu, pogłębiającym cienie wokół napisów na nagrobkach, *Kalifornijski wędrowiec,*

przechowuję talizman, zdjęcia pagórka w Świętobrości, gdzie pod dębami leżą dziadek Zygmunt Kunat – wyznawał w wierszu *Mój dziadek Zygmunt Kunat.*

To Czesław Miłosz, jak go nazywałam, „Mój Poeta", ale też – za jego sekretarką, Agnieszką Kosińską – „Profesor" nauczył mnie zwracać uwagę na ludzi, nazwiska, szczegóły:

– Odeszła pani od subiektywnego widzenia świata, tak charakterystycznego dla poezji współczesnej, do obiektywnego. W pani wierszach są rzeczy, detale, to coś innego niż emocje, skupianie się na sobie.

Kiedy czytał mój wiersz o klasztorze kontemplacyjnym sióstr klarysek w Starym Sączu, cieszył się:

– To jest właśnie to: woda obmywająca ofiarne bulwy ziemniaków, ogień gazowego piecyka. To są przedmioty, konkrety, ładne, tak… Czy pani się zastanawiała, jak przedmioty potrafią nosić na sobie znaki, odbicia osób, które je miały? – pytał po lekturze mojego wiersza o dziewczynie, która w sklepie z używaną odzieżą zostawiła razem z sukienką szalone lato. Na półkach mam kilkadziesiąt książek Miłosza z jego autografami, dedykacjami dla moich synów, dla mnie. Z literami pisanymi nieodmiennie wiecznym piórem, które nosił w wewnętrznej kieszeni swojej marynarki.

– Brak pióra to nie powód, żebym nie wpisał pani dedykacji – śmiał się w zeszłym roku, nie mogąc go znaleźć. Jego ostatnie tomy były nieustannym zbieraniem się do odejścia. A jednocześnie zapisem niepohamowanego zachwytu nad światem. To chyba najwybitniejsze strofy poezji polskiej o życiu i śmierci. Wiersze, które podbiły Stany Zjednoczone (w USA uważają, że Miłosz to „ich" poeta).

Kiedy po śmierci dostanę się do Nieba, musi tam być jak tutaj

zamieniony w samo patrzenie będę dalej pochłaniał proporcje

ludzkiego ciała, kolor irysów, paryską ulicę w czerwcu o świcie

notował w tomie *To.* Albo:

Jasności promieniste

Niebiańskie rosy czyste

Pomagajcie każdemu

Ziemi doznającemu.

Te wiersze dla niektórych były jak modlitwa. Poznałam zakonnicę, która czytała je zamiast medytacji. Słyszałam o księdzu, który kazał je zamknąć ze sobą do trumny. A przecież sam poeta miał do swojego pisania (i pisania w ogóle) tyle zastrzeżeń.

– Literatura nie bardzo daje się pogodzić z ewangelicznym wskazaniem *Gdzie skarb twój, tam serce Twoje* – mówił mi. – Bo skarb poety i każdego twórcy zanadto jest umieszczony w tym, co robi, a to, co robi, jest związane z jego osobą. W samym założeniu spędzanie tylu godzin na obcowaniu ze sobą staje się niebezpieczne, oddziela od innych.

Kiedy odwiedziłam go jeszcze przed dziewięćdziesiątką, zaśmiał się:

– Przychodzi pani do starego człowieka, nie słyszę, niedowidzę.

– To może jakieś krople?– starałam się radzić.

– Gdzie tam krople, to starość. Ci, co mają mocne serce, muszą się długo męczyć.

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto, w sierpniu 2004 r.